

Adam Mickiewicz

Pan Tadeusz



Adam Mickiewicz
Pan Tadeusz

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=21104870

2016

Содержание

KSIĘGA PIÉRWSZA	4
KSIĘGA DRUGA	43
Конец ознакомительного фрагмента.	49

Adam Mickiewicz

Pan Tadeusz, (Tom Pierwszy)

KSIEGA PIÉRWSZA GOSPODARSTWO

TREŚĆ.

Powrot panicza – Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu – Ważna Sędziego nauka o grzeczności – Podkomorzego uwagi polityczne nad modami – Początek sporu o Kusego i Sokola – Żale Wojskiego – Ostatni Woźny Trybunału – Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrój świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;

I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu;))
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.
Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rościagnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.
Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dóm mieszkalny niewielki lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się niemoże;
Widać że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,

Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.
Właśnie dwókonną bryką wjechał młody panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
Wysiadł s powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać,
Dawno domu niewidział; bo w dalekiem mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
S którymi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisały.
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi s Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,

W rękę trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny
Stoją na szanćach Pragi, na stosach moskali
Siekąc wrogów a Praga już się w koło pali.

Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wniścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.
Biegał po całym domu i szukał komnaty
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach; w téj komnacie mieszkanie kobiéce?
Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To niebył ochmistrzyni pokój? Fortepiano?
Na niém noty, i książki; wszystko porzucano
Niedbale i beładnie; nieporządek miły!
Niestare były rączki co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
A na oknach donices pachnącemi ziołki,
Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jedném z okien – nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą

Był maleńki ogródek ścieszkami porznięty.
Pełen bukietów trany angielskiej i mięty.
Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki widać że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;
Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnymi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.
Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,
Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były odgadywał.
Przypadkiem oczy podniósł, i toż na parkanie
Stała młoda dziewczyna – białe jój ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odślaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takim nigdy niebywa od mężczyzn widziana;

Więc choć świadka niemiała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzélki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
Twarzy niebyło widać, zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Juk biały ptak zleciała s parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce opartéj o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nóćąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
W tém ujrzała młodzieńca i z rąk jéj wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
Jak obłok gdy z jutrzeńką napotka się ranną;
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,
Chciał coś mówić, przepraszać, tylko się ukłonił
I cofnął się; dziewica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
Podróżny zląkł się, spojrzął, lecz już jéj niebyło,
Wyszedł zmieszany i czuł że serce mu biło
Głośno, i sam niewiedział czy go miało śmieszyć

To dziwaczne spotkanie, czy wstydzie, czy cieszyć.
Tymczasem na folwarku nieuszło baczności,
Ze przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowój mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody,
Słudzy niewyszli witac, ale niemyśl wcale
Aby w domu Sędziego służono niedbale;
Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
On Pana zastępuje i on w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).
Widząc gościa na folwark dążył pokryjomu;
(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)
Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie
Nagotowane z rano, bo od rana wiedział,
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.
Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował
I s krzykiem podróznego ściskał i całował;
Zaczęła się ta prętka, zmieszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabażał,

Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.
«Dobrze mój Tadeuszu,» (bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)
«Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;
Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,
Dla skończenia dawnego z Panem Hrabią sporu,
I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
A starzy i kobiety żniwo oglądają
Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.»
Pan Wojski s Tadeuszem idą pod las drogą
I jeszcze się dowoli nagadać niemogą.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniej silnie ale szerzej niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty
Napelniając wierzchołki i gałęzie drzewa,

Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad niem czerwone jak pożar na dachu;
Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okienic szpary,
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabliska suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
«Pan świata wie jak długo pracować potrzeba;
«Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,
«Czas i ziemianinowi ustępować s pola.»
Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola
Była Ekonomowi pocziwemu święta.
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
Cieszą się z niezwyčajnej ich lekkości woły.
Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesoło lecz w porządku; naprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku,
(Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rosprawiał
O porządku, nikt męszczyzn i dam nie ustawiał,
A każdy mimowolnie porządku pilnował.

Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu;
Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.
Więc do porządku wykli domowi i słudzy;
I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy
Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.
Krótkie były Sędziego s synowcem witania,
Dał mu poważnie rękę do pocałowania
I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;
A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,
Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.
W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy
Stado cielic tyrolskich z mosiężnemi dzwonki.
Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki;
Wszystko bieży ku studni, której ramię i drzewa
Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.
Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności,
Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora

Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,
Dozoru tego nigdy pługom nie poruczy,
Bo Sędzia wie że oko pańskie konia tuczy.
Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni
Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,
Bo w niebytność Wojskiego Woźny pokryjomu
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
I ustawić co prędzej w pośrodku zamczyska,
Którego widne były pod lasem zwaliska.
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
I przeproszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,
Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.
Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;
We dworze żadna izba nie ma obszerności
Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości,
W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,
Sklepienie całe – wprawdzie pękła jedna ściana.
Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;
Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.
Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,
Ze miał i tań inne ważniejsze przyczyny.
O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków;

Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszeków.
Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
W częście spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wzięść nie chciał, bo w szlacheckim stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;
Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury
Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,
Że Architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.
Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym łądzie,
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.
Słusznie Woźny powiadał że w zamkowej sieni
Zmieści się i palestra i goście proszeni.
Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem
Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;
Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi
Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;

Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyrte,
I stoi wypisany każdy po imieniu;
Herb Horeszków Półkozic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i urzędu ten zaszyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
I chołdziec litewski milcząc żwawo jedli.
Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,
Jakby czyjegoś przyjścia był pewny i żądał.
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
I z nim na miejscu pustém oczy swe osadzał.
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,
Wszystkie zacnie zrodzone, każda młoda, ładna;
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.
To miejsce jest zagadką, młódź lubi zagadki;
Rostargniony, do swojej nadobnej sąsiadki
Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,

Nie zmienia jój talerzów, nie nalewa szklanki,
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,
S którychby wychowanie poznano stołeczne;
To jedno puste miejsce nęci go i mamy,
Już niepuste, bo on je napełnił myślami.
Po tem miejscu biegało domysłów tysiące,
Jako po deszczu żabki po samotnej łące;
Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę
Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.
Dano trzecią potrawę. W tém pan Podkomorzy,
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodziej przysunawszy s talerzem ogórki,
Rzekł: «Muszę ja wam służyć, moje panny córki
Choć stary i niezgrabny.» Zatem się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: «Dziś nowym zwyczajem
My na naukę młodzież do stolicy dajem,
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowej nauki,
Ale co dzień postrzegam jak młódź cierpi na tém,
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
Dawniej na dwory pańskie jachał szlachcic młody,
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,

(Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nic wypuści aż człowiekiem zrobił.
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeżlim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni więcej godni Wojewody względów
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,
Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu,
W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało.
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnać, z uśmiechem witać lada kogo;
Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana
Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
Była to historia żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu:

Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaj swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zaczął? kto go rodzi?
S kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi
Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazjanus nie wachał pieniędzy,
I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów;
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość że ważny i że się stempel na nim widzi,
Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi.»

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież terazniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokim;
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,
Podkomorzy pochwałał rzeczy nie przerywał,
Ale częstym skinieniem głowy potakiwał.
Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwał;
Więc Sędzia jego puchar i swój kielich nalał,
I dalej mówił: «Grzeczność nie jest rzeczą małą:
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach żebyśmy nasi ciężar poznali,

Musim kogoś posadzić na przeciwną szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej
Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
Wspaniały domów sojusz – tak myśleli starzy.
A zatem» – Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy
Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,
Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

W tém brząknął w tubakierę złotą Podkomorzy,
I rzekł: »Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!
Teraz niewiem czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorszenia.
Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!
Gdy raptem paniczyki młode s cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiare,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszczka;
Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przepuszcza,

Odbiera naprzód rozum od Obywateli.

I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,

I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,

Bo już sam wewnątrz, siebie czuł choroby zaród;

Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;

Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.

Była to maszkarada, zapustna swawola,

Po której miał przyjść wkrótce wielki post – niewola!

«Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,

Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,

Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku.

Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.

Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,

Zazdroszczono domowi, przed którego progiem

Stała Podczaszyc dwókolna dryndulka,

Która się po francusku zwała karjulka.

Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,

A na kozłach niemczysko chude nakształt deski;

Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,

W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki,

Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.

Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,

A chłopci żegnali się, mówiąc: że po świecie

Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie

Sam Podczaszyc jaki był opisywać długo,

Dosyć że się nam zdawał małą lub papugą

W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

«Podczaszyc zapowiedział że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować;
Ogłosił nam, że jacyś francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.
Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jój pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nic czytano w francuskiej gazecie.
Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiża;
Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.
Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokracji;
Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciliby się kiedyś Demokratą.

Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

«Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
Nie szukać prawodastwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.

Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!
Zawždy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.

Tylko smutno, że nam ach! tak się lata wleką
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak randka nowina —
Ojcie Robaku (ciszej rzekł do Bernardyna)
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;

Może też co o naszym wojsku wie Jegomość?»

– «Nic a nic» odpowiedział Robak obojętnie,
(Widać było że słuchał rozmowy niechętnie)

Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie, cóż o tém gadać u wieczerzy;
Są tu świeccy do których nic to nie należy.»

Tak mówiąc, spojrział zyzem, gdzie wśród biesiadników
Siedział gość Moskał; był to pan kapitan Ryków,

Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:
«Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a popolsku umiem, —
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!
Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem,
Często na awanpostach nasz s francuzem gada.
Pije wódkę; jak krzykną ura! – kanonada.
Ruskie przysłowie: s kim się biję, tego lubię.
Gładź družkę jak po duszy, a bij jak po szubie,
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
Płuta Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,
Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na francuza.
Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów
Czarował; tak i były czary przeciw czarów.
Baz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta, —
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.

Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą» —
Tu Ryków przerwał i jadł; wtém s potrawą czwartą
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda;
Jéj zjawienie się nagłe, jéj wzrost i uroda,
Jéj ubiór, zwrócił oczy, wszyscy ją witali,
Prócz Tadeusza widać że ją wszyscy znali.
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
Suknię materjalną różową jedwabną,
Gors wycięty, kołnierzyk s korónek; rękawki
Krótkie, w ręku kleciła wachlarz dla zabawki
(Bo nie było gorąca), wachlarz pozłocisty
Powiewając rozlewał deszcz iskier rześisty.
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,
Pośród nich brylant, niby zakryły od oczu,
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,
Słowem ubior galowy; szeptali nie jedni,
Ze zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
Nózek, chuć suknia krótka, oko nic zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczém
Jako osobki, które na trzykrólskie święta
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,
Chciała usieść na miejscu sobie zostawioném.
Trudno było; bo krzesel dla gości nie stało,

Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,
Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeskoczyć;
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potem między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem,
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana
Pośliznęła się nieco, i w tém roztargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki
Muskiała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.
Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła naprzód ciche szmery,
A potem się zaczęły wpółgłośne rozmowy;
Mężczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zajęcia pochwycił;
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła

Brali stronę Kusego albo też Sokoła,
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
Sędzia na drugim końcu do nowój sąsiadki
Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,
Niepodobna wieczerzy na później odkładać,
Goście głodni, chodzili daleko na pole,
Myślałem że dziś z nami nie będziesz przy stole.
To rzekłszy, s Podkomorzym przy pełnym kielichu
O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.
Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
Tadeusz przyglądał się nieznaněj osobie;
Przypomniął że za pierwszym na miejsce wejrzaniem
Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;
Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!
Więc było przeznaczono, by przy jego buku
Usiadła owa piękność widziana w pomroku;
Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,
Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza.
I włos u tamtej widział krótki, jasnożłoty,
A u tój krucze długie zwijały się sploty?
Kolor musiał pochodzie od słońca promieni
Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
Twarzy w ów czas niedostrzegł, nazbyt rychło znikła,
Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;
Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,

Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;
U tój znalazł podobne oczy, usta, lica;
W wieku możeby była największa różnica;
Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
A Pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;
Lecz młodzieź o piękności metrykę niepyta,
Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobiéta,
Chłopcowi każda piękność zda się rowiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.
Tadeusz chociaż liczył lat blisko dwadzieście,
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiém mieście;
Miał za dozorcę księdza który go pilnował
I w dawněj surowości prawidłach wychował.
Tadeusz zatém przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
Ale razem nie małą chętkę do swywoli,
Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi, długo wzbronionej swobody;
Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody;
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.
Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził,
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,

Choć stryj na wychowanie niczego nieskąpił.
On wołał z flinty strzelać, albo szablą robić.
Wiedział że go myślano do wojska sposobić,
Że Ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.
Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
Kazał aby przyjechał i aby się żenił,
I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.
Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
I w twarz spójrzała, s której wytryskał rumieniec.
Ilekcć z jęj oczyma spotkał się młodzieniec:
Bo s pierwszjęj lękliwości całkiem już ochłonał,
I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonał,
Równięj patrzyła ona, i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie jak roratne świeće.
Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;
Wracał z miasta, ze szkoły; więc o książki nowe,
O autorów pytała Tadeusza zdania,
I ze zdań wyciągała na nowo pytania;
Cóż gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie!
Dowiodła że zna równic pędzel, noty, druki;

Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,
Lękał się, by niezostał pośmiewiska celem,
I jękał się jak zaczek przed nauczycielem.
Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi:
Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.
Tadeusz odpowiadał śmielej, szła rzecz dalej,
W półgodziny już byli s sobą poufali;
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
W końcu, stawiała przed nim trzy s chleba gałeczki,
Trzy osoby na wybor; wziął najbliższą sobie;
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,
Sąsiadka zaśmiała się, lecz niepowiedziała
Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.
Inaczéj bawiono się w drugim końcu stoła,
Bo tam wzmógłszy się nagle stronnicy Sokoła,
Na partyę Kusego bez litości wsiedli:
Spór był wielki, już potraw ostatnich niejedli.
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniej Pan Rejent był zacietrzewiony,
Jak raz zaczął, bez przerwy ncci swoją tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował.
(Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,

Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)
Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,
S pod ramion wytknął palce i dłonie paznokcie.
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,
Właśnie rzecz kończył. «Wyczha, puściliśmy razem
Ja i Assessor, razem, jakoby dwa kórki
Jednym palcem spuszczone u jednej dwórórki;
Wyezha, poszli, a tając jak strona, smyk w pole.
Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;
Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec.
Wysadził się przed kusym, o tyle, o palec.
Wiedziałem że spudłuje, szarak gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie
Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy
Cap!!» Tak krzyżąc Pan Rejent na stół pochylony,
S palcami swemi zabiegł aż do drugiejsz strony,
I «Cap!» Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;
Tadeusz i sąsiadka tym głosu wybuchem
Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy:
Jako wierzchołki drzewa powiązane społem

Gdy je wicher rozerwie; i ręce pod stołem
Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.
Tadeusz by niezdradzić swego rostargnienia,
Prawda rzekł mój Rejencie, prawda, bez wątpienia
Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny...
Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny
Żeby nie miał być chwytny? Więc Tadeusz znowu
Cieszył się, że tak piękny pies niéma narowu.
Żałował że go tylko widział idąc z lasu,
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrzał Assessor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok juk bazyliszek.
Assessor mniěj krzykliwy i mniěj był ruchowy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniěj człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy,
Przypominał mu jego lata młodociane,

Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
Teraz mu s całej psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.
Wiec zbliżył się i zwolna gładząc faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
«Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,
A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
Zresztą zdać się możemy na sąd Pańskiój cioci.
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
I bawi się niedawno w naszej okolicy,
Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:
Tak to nauka sama z latami przychodzi.»
Tadeusz na którego niespodzianie spadał
Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic niegadał,
Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej...
W tém wielkiem szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,
«Wiwat» krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił:
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A wśródku jój był portret króla Stanisława.
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował,
Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;
Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.
On rzekł: «Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,

Forum myśliwskim tylko są łąki i knieje,
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,
I posiedzenie nasze na jutro solwuję.
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;
Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole,
Jutro i Hrabia s całym myśliwstwem tu zjedzie,
I Waszeć z nami ruszysz Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi.»
To mówiąc tabakierę podawał starcowi.
Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział.
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.
On milczał, szczypię wziętą s tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,
Kichnął aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:
«O jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi?
Widząc że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie;
Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,

Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim,
A od tyłu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
Nikt go na polowanie uprosić nie może,
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława! ażeby pan taki
Wedle dzisiejszej mody jeździł na szaraki.
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem
szlacheckim,

A zwierze nic mające kłów, rogów, pazurów,
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;
Żaden pan przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!
Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
Trafia się że spod konia mknie się biedak zając,
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe roskazy, i niech mi wybaczy
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niém noga moja nie postanie!

Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
Żaden za zajęcami nie jeździł Hreczecha.»
Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,
Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
Tadeusz Telimienie, Assessor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.
Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,
A czuł się pomieszany, zły i niewesoły,
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki,
A szczególniej mu słowo «Ciocia», koło ucha
Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha,
Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać
O Pani Telimienie, lecz go niemógł schwytać;
Wojskiego też niewidział, bo zaraz z wieczerzy
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
Urządzając we dworze izby do spoczynku.
Starsi i damy spały we dworskim budynku,
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.
W półgodziny tak było głucho w całym dworze
Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;

Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,
Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.
Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
Pisarzom, ochmistrzyń, strzelcom i stajennym,
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać,
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.
Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,
Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,
Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
Na wywrót jedwab' czarny posrebrzany w kraty;
Pas taki można równie kłaść na strony obie,
Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:
«Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,
Nikt na tém nic niestracił, a Pan może zyska,
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
I mimo całą strony przeciwnéj zajadłość,
Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
Dowodzi że posiadłość tam ma albo bierze,
Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.»

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,
Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,
Którą nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
Albo o których później dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,
Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
Obuchowicz s kahałem, Juraha s Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia
S Soplicą: i czytając, s tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
Jedną ręką na szabli, a drugą do stoła
Przywoławszy dwie strony, «Uciszcie się!» woła.
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichój wsi litewskiej; kiedy reszta świata

We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych.
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
Które broniły Litwę murami żelaza
Przed wieścią dla Rossyj straszną jak zaraza.
Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba
Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy w koło obracał ostróżne.
Gdy niewidział we dworze rosyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,
Przynosił kości stare na ziemię, ojczystą,
Którój już bronie niemógł – jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ścisła
Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,
I dziwniejsze od baśni historye gadał.
On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski
Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,

Jak on rodaków zbiera na Lombardskiem polu;
Jak Kniaziewicz rozkazy daje s Kapitolu,
I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznej wiośnie
Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju
Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.
Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;
Chłopiec co je posłyszał, znikał nagle z domu,
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,
Gdzie usłyszał głos miły «Witaj nam kollego!»
Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia
I Moskałom przez Niemen rzekł: «do zobaczenia».
Tak przekradł się Górecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
Mirzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Gedymin i inni których nie policzę;
Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb Carski zabierano.
Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,
Gazetę im pokazał wyprutą s szkaplerza;
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,

I nazwisko każdego wodza legionu,
I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna;
Brał dom żałobę, ale powiedziéć nie śmiano
Po kim była żałoba, tylko zgadywano
W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:
Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze
Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.
Miał on nad prawém uchem, nieco wyżej skroni,
Bliznę, wyciętej skóry na szerokość dłoni,
I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;
Ran tych niedostał pewnie przy czytaniu mszału.
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.
Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
Od ołtarza do ludu, by mówić: «Pan z wami»,
To nie raz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,
I słowa liturgji takim wyrzekł tonem
Do ludu, jak oficer stojąc przed szwadronem;

Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy.
Spraw także politycznych był Robak świadomszy,
Niżli żywotów świętych, a jeżdżąc po kweście,
Często zastanawiał się w powiatowém mieście;
Miał pełno interessów: to listy odbierał
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą
Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,
I okoliczne wioski do koła wydeptał,
I w karczmach z wieśniakami rosprawał nie mało,
A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.
Teraz Sędziego który już spał od godziny
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

KSIĘGA DRUGA

ZAMEK

TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonogo – Gość w Zamku – Ostatni z dworzan opowiada historją ostatniego z Horeszków – Rzut oka w sad – Dziewczyzna w ogórkach – Śniadanie – Pani Telimeny Anegdota petersburska – Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokola – Interwencja Robaka – Rzecz Wojskiego – Zakład – Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pachole,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nieutrudza,
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.
Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,

Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
Zaszumił, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.
Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,
I służyć w jeździe która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych prócz kosi i sierpa rynsztunków
I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Sopicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemnozieloném świeżém wonném sianie,
S którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rosplywały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo,
Odezwały się chorem kaczki i indyki,
I słyhać bydła w pole idącego ryki.
Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,

Bo też najpóźniej zasnął; s wczorajszej wieszki
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
Jeszcze oczu niezmrużył, a na swém posłaniu
Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym paskiem
«Surge puer» wołając i ponad barkami
Rubasnie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słycać myśliwskie okrzyki.
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
Potém biegą i kładą szyje na obroże:
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.
Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;
W środku jechali obok Assessor z Rejentem,
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru
Idąc na rostrzygnięcie śmiertelnego sporu;
Nikt ze słów zawziętości ich poznać niezdola.

Pan Rejent wiodł Kusego, Assessor Sokoła.
S tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami
Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem
Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem
Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,
Wreście kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;
Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby
Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczyć,
Bernardyn odpowiedzieć, ni spojrzeć nieraczył,
Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;
Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.
Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia
Nad którym stał Pan Sędziu, on zwierza obaczył
I rąk skinieniem swoje roskazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
Assessor i Pan Rejent kłusują powoli;
Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu; na szarój przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.
Pokazał mu Pan Sędzia; siedział biedny zając

Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie
Ze strachu od ich oczu niemógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka.
Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżej.
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokół chyży,
Tuż Assessor z Rejentem, razem wrzaśli s tyłu:
«Wyczha, wyczha» i s psami znikli w kłębach pyłu.
Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem.
Wiedziano w okolicy, że ten Pan niemoże
Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze,
I dziś zasnął poranek, więc na sługi zrzędził,
Widząc myśliwców w polu cwałem do nich pędził
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
Połami na wiatr puścił; s tyłu konno sługi
W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśnących, małych,
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych:
Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu, dżokeje.
Cwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył
Że to były też same mury, tak odświeżył
I upięknił poranek zarysy budowy;

Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszcziała w kratkach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rospadliny i szczyrby zakryła od oka.
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany;
Przysięgłbyś że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono
 Hrabia lubił widoki niezwykle i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę
Romansową, w istocie był wielkim dziwakiem.
Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokości sośnie;

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.